

# W co się *bawić*, w co się bawić...



U Marków na kolacji. W małej, ładnej kuchni, stół nakryty dla sześciu osób. Jedliśmy czosnkowane jagnię, ryż, fasolę, sałatę z vinegretem. Rozmowa o rzeczach banalnych i błahych przeciekała między jednym a drugim łykiem wina, w nastroju krzepiącej bliskości.

Najmniej mówiłam ja. Myślami chodziłam wokół innego domu, który dopiero co odwiedziłam. Zastałam trójkę dzieci moich przyjaciół przed ogromnym komputerem, grającą w jakieś szalone gry, przekraczające moje możliwości rozumienia.

W ogóle nie zwrócili na mnie uwagi. Matczyne „przywitajcie się z cicią” potraktowali jak nieważny przelot muchy. Oczy chłopców płonęły jak żagwie, uszy tryskały purpurą, usta zroszone potem mamrotały lub wykrzykiwały niezrozumiałe dla mnie hasła, czoła pofałdowane mozołem myślenia przypominały czoła zmartwionych jamników.

Najmłodszemu wyraźnie chciało się sikać. Kolana zawiązywał w supeł, krzywił buzię i syczał jak przegrzany czajnik z gwizdkiem.

– Krysiu, on chce siku – powiedziałam pełna współczucia dla męki pięcioletniego gracza.

– Raczej się posika niż ojedzie od tego mebla.

– I oni tak często?

– Bez jednej przerwy. Do ogrodu, na spacer nie wygonisz. Z dnia na dzień układają programy, blokują ojcu komputer, zasypiają i budzą się pytając tylko o tym, nawet nie żebną o cukierka „na zęba”. Mam wprawdzie spokój, mogę nawet bezpiecznie wyjść z domu, ale czy to jest dobrze czy złe, pojęcia nie mam.

Kiedy schodziłam po stopniach Krysinego domu na żoliborską uliczkę, słyszałam nieludzkie wrzaski najmłodszego Michała, wleczonemu wreszcie przez matkę do klozetki, bo przecież zmarnuje sobie pęcherz „na amen”.

Rozejrzałam się po siedzących przy stole, nakrytym dla sześciu osób, w małej kuchni. Pięćdziesięciolatek, pięćdziesięciolatka, znów pięćdziesięciolatek, czterdziestolatka i Agnieszka, dwudziestolatka. Ja najstarsza, z drugiej połowy pierwszej połowy XX wieku.

– W co się bawiliście, jak mieliście 5, 7 lat?

Posypały się nazwy: w klasy, we dwa ognie, albo inaczej: „walkę narodów”, skakanekę, w „Zośkę”, w policjantów i złodziei, piłka do dołka, piłka odbijana o ścianę, w kucanego oczywiście też!, opowieści „lasku wiedeńskiego”... Zaraz, zaraz, co to było, te „opowieści”? Tego nie znam.

– Licytacja na najstraszniejszą opowieść. Horror. Taki, co to „krew w żyłach”...

– Co jeszcze?

– Kto dalej i mocniej plunie.

– Nie, nie, to nie zabawa, to już się z nudów robiło. Z wariacji. Mnie chodzi o prawdziwe zabawy. Konstrukttywne. Emocjonujące.

– A plucie, to nie było emocjonujące? Znałem chłopaka, co pluł z taką mocą, że jak trzeba było, to szybko wybijał.

– Nie, nie, nie o takie zabawy chodzi – panie zaczęły protestować z siłą nieprzejednanych estetek, jako że właśnie zabieraliśmy się do lodów. – To już lepiej mówcie o ołowianych żołnierzach.

– Myśmy się ołowianymi żołnierzami nie bawili.

Zdziwiłam się. Synowie pokolenia Kolumbów? Spadkobiercy biało-amarantowej tradycji?

– Nie, nigdy.

Przypomniał mi się arsenał ołowianych i papierzanych, wycinany nożyczkami z kolorowych kartonów, mojego brata. Kawaleria generała Zajączka, kosynierzy w krakuskach, nawet sam Kościuszko z szablą u boku, a i Bartosz Głowacki w rogatywce, Polacy, Francuzi, Moskale, bersalierzy, żelazni ułani w najwścieklejszym rozpędzie, i Szkoci z kobzami, i kapitan piechoty polskiej dziwnie do naszego ojca podobny – wszystkie woj-ska, wszystkich wojen spadłych na Europę na przestrzeni stu lat, ustawieni wedle woli mego brata, maszerowali przez maminy zielony dywan, dżgani wojennymi okrzykami, że:

– Hitler wygra wojnę, ale na fujarce!

Całe moje dzieciństwo upłynęło pod znakiem tych żołnierzy, marszów i ich wojen. Taka pewnego rodzaju nauka historii, nauka oręża.

– Więc dlaczego wy nie? Taki koniec ciągłości?

– Po wojnie raczej ta ciągłość nie była mile widziana. Historia oręża polskiego zaczynała się od roku 1945. Po prostu ołowianych żołnierzy nie było w sprzedaży.

No, od słowa do słowa, doszliśmy do wniosku, że wszyscy, jak tu siedzimy, mimo różnicy pokoleń, jesteśmy dziećmi XX wieku, bo nawet dla dwudziestoletniej Agnieszki nie komputery, lecz „piłka o ścianę”, skakan-ka i „wojna narodów” były zabawami dzieciństwa. Ten sam model humoru, symboli, znaków, hymnów i „szpanów”.

Rozmowa w sposób naturalny z ołowianych żołnierzy przeszła na wojny. I to poczułam się bardzo samotna. Druga wojna światowa rozdzieliła nas na dwa odrębne światy. Sensualna pamięć zapisana w tkankach mojego ciała nie znajdowała żadnego punktu odniesienia w ich życiorysach. Urodzeni po wojnie, choć wykształceni i wszystkowiedzący, stanowili dla moich emocji szklaną ścianę. Bośnia, Czeczenia? To tak daleko, to nie do-tyka osobiście. Oświęcim, Katyń, to tak dawno. Powstanie warszawskie, porywające, ale czy potrzebne? Stalinizm, trudno wyobraźalny w swej zbrodniczej hipokryzji. Upadek radziecki, normalny koniec zdegenerowa-nego mocarstwa. Obalenie muru berlińskiego, oczywistość. Wizyta Kohla, żadnych skojarzeń. Niepokoje na wschodzie granic, głupota jednych i dru-gich. Przepieranki z Rosją bez znaczenia.

– Wolni i czysti. Bez uprzedzeń, podejrzeń, kompleksów.

A co ważne? Wszystko to, co zaczęło się od 1989. Dzień dzisiejszy i przyszłość. Jeszcze nic nie podsumowują, niczego nie zamykają, ku ni-czemu nie zwracają. Czekają. Aktywnie żyjąc i pracując, swoje ambicje realizując. Po kilkunastu latach objania się po świecie, tu, w Polsce robiąc swoje.

Co niesie wiek XXI? Zagadka. Kontynuacja, ale zmieniają się formy, sty-le, fasony życia.

– Sylwestra 2000 będziecie czcić za pomocą komputera?

– Może. A może jeszcze inaczej. Może w przestrzeni międzyplanetarnej?

– A w tenisa już gracie na komputerze, czy jeszcze na kortach? – zde-nerwowałam się.

Marek spojrział na mnie jak na chorą.

– Zwariowałaś? Oczywiście, że na kortach. A o co ci chodzi?

– Bo twoje wnuki, to już będą grały wyłącznie na komputerach. Zoba-czysz.

– To ich sprawa, nie moja. Ich życie, nie moje: Ich zabawy, nie moje. Kijem Wisły nie zawrócisz. Czas cierpliwym biegiem zdeptuje wszystko bez śladu.

– Nie bez śladu – upierałam się – zostają wspomnienia, tradycje, zapisy na kartkach.

– Żałosne jak mogiły – Marek był nieugięty.

– Mogiły? Żałosne? Dla ciebie? Dziecka wileńskich pradziadków?

– W gruncie rzeczy tak. Jak długo można zatrzymywać czas? – śmiał się przekornie, jednak z nutką nostalgii za własnym czasem.

Wysłałam od nich zmartwiona lecz i pogodzona z faktem niemożności zawrócenia Wisły kijem. Żeby pocieszyć się w tym pół na pół uczuciu, przyrzekałam solennie za pierwsze chałturkowe pieniądze kupić sobie kom-puter z drukarenką. Malutki, walizeczkowy. W ulubionego remika nadal będę grała z żywymi ludźmi, ale listy do przyjaciół, a przede wszystkim następny felieton dla „Pani”, napiszę na komputerze. Coś trzeba zrobić, żeby dorównać kroku. W pierwszej zwłórcie nigdy nie pójdę, za nic na świecie. Nie można się rozglądać. Trzeba wyłącznie smarować do przodu. Ale w ogniu ciągnąć się też nie mam ochoty. Najlepiej jest w środko-wych szeregach kolumny, z brzoza. Można tynąć okiem na boczek i tro-chę skosem do tyłu. Właścuzka to „do tyłu” mi się podoba. Bez niego ży-cie nie ma dla mnie wdzięku.